

Wojna w Iraku dwie dekady później

3 czerwca 2024

„Wiedziałem, że niepowodzenie w znalezieniu broni masowego rażenia zmieni postrzeganie wojny. Chociaż świat był niewątpliwie bezpieczniejszy po odejściu Saddama, rzeczywistość była taka, że wysłałem wojska amerykańskie do walki w dużej mierze w oparciu o informacje wywiadowcze, które okazały się fałszywe. To był ogromny cios dla naszej wiarygodności – mojej wiarygodności – który mógł zachwiać zaufaniem narodu amerykańskiego. Nikt nie był bardziej zszokowany ani zły niż ja, kiedy nie znaleźliśmy tej broni. Za każdym razem, gdy o tym myślałem, źle się z tym czułem. I tak jest cały czas”.

Tak napisał w pamiętnikach George W. Bush, wyraźnie zaznaczając, że sama myśl, iż w Iraku nie znaleziono broni masowego rażenia przyprawia go o mdłości. A właśnie neutralizacja broni masowego rażenia była głównym i oficjalnym powodem rozpoczęcia 19 marca 2003 r. operacji wojsk amerykańskich w Iraku, dokonując inwazji kraju rządzonego – łagodnie mówiąc – twardą ręką Saddama Husseina.

To była druga inwazja na ten kraj, zwana „Operation Iraqi Freedom”. Prezydent Bush zdefiniował ją jako misję „rozbrojenia Iraku, uwolnienia jego mieszkańców i obrony świata przed poważnym niebezpieczeństwem”.

Aprobata Kongresu

Kilkanaście miesięcy wcześniej Ameryka była w szoku po atakach z 11 września 2001 r. i nastroje antyislamskie, często wręcz wrogie i nawołujące do zemsty, nie były obce. Poczucie, że ataki ze strony radykalnych muzułmanów mogą się powtórzyć, nie były odosobnione.

Prezydentowi Bushowi udało się zdobyć poparcie Kongresu. W październiku 2002 r. Izba Reprezentantów i Senat autoryzowały operację. W Izbie był to stosunek głosów 296-133, w Senacie 77-23. Opinia publiczna była już bardziej podzielona.

5 lutego 2003 r. sekretarz stanu Collin Powell wystąpił w ONZ, przedstawiając stanowisko USA i uzasadniając konieczność wojny. Argumenty za dokonaniem inwazji zaprezentowane przez Powella okazały się później w dużej większości i być może bez jego wiedzy – fałszywe. Już niedługo, bo w 2005 r., Powell mówił, że przemówienie w ONZ było „plamą”, jeśli chodzi o jego życiorys jako sekretarza stanu. „Czuję się okropnie – opowiadał. – Ja przedstawiłem to światu w imieniu USA i to zawsze będzie częścią mojego dorobku. To było bolesne. Do teraz to boli”.

Wojna w Iraku już w trakcie przygotowań, jak i po rozpoczęciu właściwych działań, miała swoich przeciwników i zwolenników. Podzielona była scena polityczna i społeczeństwo. Najbardziej zagorzali zwolennicy wojny, w tym wielu przedstawiciele administracji prezydenckiej, zarzucali krytykom nawet brak patriotyzmu i antyamerykanizm. Demokraci z kolei zarzucali Białemu Domowi brak przejrzystości w kwestii kosztów wojny czy też podważali wiarygodność danych wywiadowczych. Spór był bardzo ostry. Szybko jego główną osią stały się fałszywe informacje o braku broni masowego rażenia.

Skutki wewnętrzne

Wojna miała odbicie w polityce wewnętrznej. Głosujący za nią senator John Kerry w prawyborach prezydenckich w 2004 r. musiał zmierzyć się z ostro antywojennymi zwolennikami Demokratów. W 2008 r. zupełnie inną sytuację, dużo lepszą z punktu widzenia pozyskiwania głosów, miał Barack Obama, gdyż w 2002 r. nie był senatorem i nie musiał głosować w sprawie wojny. Z krytykami wojny musiała się zmierzyć w 2016 r. także Hillary Clinton, która broniła swojego głosu „za” inwazją.

Temat na dobre zniknął dopiero w kampanii 2020 r., bowiem to sprawy społeczne i gospodarcze zdominowały wówczas dyskurs polityczny, a głosujący za wojną w 2002 r. Joe Biden startował już w nowej rzeczywistości.

A jak było u Republikanów? George W. Bush uzyskał reelekcję w 2004 r., gdyż świeże było jeszcze przekonanie, że w walce z radykalnym islamizmem i zabezpieczeniem państwa przed ewentualnymi atakami, nie zmienia się głównodowodzącego armii i autora całej koncepcji. Ale już w 2008 i 2012 w wyścigu do Białego Domu polegli odpowiednio John McCain i Mitt Romney – obaj twardo bronili wojny w Iraku.

W 2016 r. na scenie politycznej pojawił się „człowiek z zewnątrz”, niekonwencjonalny gracz Donald Trump. I choć wojna w Iraku nie była ważnym tematem kampanii, upatrzył sobie szczególnie jako cel ataków Jeba Busha, gubernatora Florydy i brata byłego prezydenta. Trump nazywał inwazję katastrofą i wielkim błędem oraz zapowiadał, że nie wciągnie Ameryki – bez potrzeby – do kolejnych wojen. I tak się stało, za jego prezydentury Ameryka nie uwikłała się w jakąkolwiek nową wojnę, a sam Trump podjął decyzje o wycofaniu wojsk z Afganistanu.

Z biegiem lat poparcie dla wojny malało i w ogóle spojrzenie na nią jako niepotrzebną zyskiwało zwolenników.

Skutki inwazji

W sumie w wojnie zginęło 4586 amerykańskich żołnierzy, a 32 455 zostało rannych. Zginęło ok. 3,5 tys. różnych kontrahentów. Dokładna liczba irackich ofiar nie jest znana, szacuje się, że zginęło 100-500 tys. cywilów. Amerykański personel wojskowy nie był odpowiedzialny za zdecydowaną większość tych ludzi; oni zginęli z rąk własnych, często przeróżnych grup partyzanckich czy terrorystycznych. Zginęło wielu irackich chrześcijan, których w Iraku została śladowa liczba. Miliony osób na skutek wojny i późniejszego powstania

ISIS zostało zmuszonych do przesiedlenia lub ucieczki. Dzisiaj w Iraku stacjonuje ok. 2,5 tys. żołnierzy amerykańskich, pełniąc przeważnie role doradcze i szkoleniowe.

Wojna pochłonęła też setki miliardów dolarów amerykańskich podatników. Co uzyskano w zamian?

Argument, że w Iraku nie znaleziono broni masowego rażenia, był decydujący. Z drugiej strony, jeśli nie znaleziono, to nie znaczny, że tej broni nie było. Można ją było zniszczyć lub wywieźć. Saddam Hussein do potulnych i miłosiernych polityków nie należał. Potrafił użyć broni chemicznej wobec własnych obywateli i słusznie był oskarżany o ludobójstwo. Dyktator Iraku nie oszczędzał Irańczyków i Kurdów. Próbował także dokonać zamachu na prezydenta Busha. Ostatecznie został pojmany i zlikwidowany w roku 2006. Czy świat stał się dzięki temu lepszy? Czy znikło zagrożenie dla Ameryki? Czy Irak stał się lepszym państwem? To kwestie dyskusyjne. Jedno jest pewne: teraz Irak, przynajmniej na tę chwilę, nie stwarza niebezpieczeństwa dla Ameryki. A 20 lat temu takim potencjalnym niebezpieczeństwem był. Pewne jest też, że zamiary państw zachodnich wprowadzania demokracji w krajach o odmiennej i ugruntowanej przez wieki innej kulturze politycznej, w krajach przeważnie arabskich, pozostają mrzonkami.

Kiedy Bush i Powell umieszczali Irak w gronie państw należących do tzw. osi zła (Axis of Evil), kiedy mówili o broni masowego rażenia i wspieraniu terroryzmu, społeczeństwo amerykańskie nie miało wątpliwości. Ameryka była świeżo po atakach 11 września 2001 r. Każda administracja w takiej atmosferze mogła liczyć na poparcie – poparcie walki z zamachowcami, terrorystami, ekstremistami religijnymi, dżihadystami. Mówiono, że lepiej walczyć ze złem gdzieś daleko, niż wpuścić to zło na własny teren.

W latach 2013-14 Barack Obama podjął kontrowersyjną decyzję o wycofaniu wojsk amerykańskich z Iraku. Natychmiast powstało

„Państwo Islamskie”, samozwańczy „kalifat”, ISIS, odpowiedzialne za śmierć tysięcy ludzi i stanowiące bezpośrednie zagrożenie USA. Zniszczenie tego tworu (ale czy do końca?) zajęło kilka lat.

Nie dziwi zatem, że poparcie Ukrainy w wojnie z Rosją nie zawsze jest w USA rozumiane. Nie ma w tym przypadku terrorystów islamskich i nie bardzo wiadomo dla dużej części Amerykanów, jakie to interesy mogą mieć Stany Zjednoczone gdzieś nad Dniestrem i Dnieprem.

Dzisiaj niewielu starszych Amerykanów będzie bronić inwazji w Iraku, a dla młodszych to nieznana historia. Przybywać będzie zaś ludzi, którzy sprzeciwiać się będą wydawaniu miliardów dolarów na Ukrainę, na wojnę mało dla nich zrozumiałą.

Autorstwo: Marek Bober

Źródło: NCzas.info